



Wywiani na Shishapangmie

8-tysiecznik dla alpinisty przecietnego - Marek Wencel

Tak to jest z naszymi sennymi marzeniami, niekiedy zanikaja one w naszej pamieci by nigdy juz do nas nie powroci. Czasami jednak sa tez takie marzenia, ktore zawsze tkwia w naszej glowie, meczac nas po nocy nie dajac nam spac, gdzieś tam w glebi naszej glowy nawolujac by je uwolnic.

Dla mnie takim snem-meczarnia, zawsze bylo wejście na 8-tysiecznik. Zaczelo sie chyba niewinnie lektura "Mojego pionowego swiata" Jerzego Kukuczki. Kiedys wydawalo mi sie to wspinanie zupełnie nierealne, za wysokie czy za trudne. Ale przez ostatnie dziesięć lat wspinaczki, szczyt po szczycie coraz bardziej zaczynałem w to wierzyć. Wymarzniety na McKinleyu, łatwizna na Aconcagua, pobity na Cho-Oyu, idealny Huascarán no i boje z Gorami Kaskadowymi dzien po dniu nabierałem pewności, że sukces jest możliwy. Po tym jak w 1999 r. zostałem upokorzony na Cho-Oyu, tym razem postanowilem powalczyć z czymś innym. Wybor gory byl oczywisty--
SHISHAPANGMA !!!!!

Na pewno wejdzimy na szczyt!!! Przecierz Shisha... o wysokości 8,048m jest najniższa z 8-tysieczników, najłatwiejsza technicznie, pogoda na wiosnę pewna jak w "BANKU" to co tu się czai !! Tylko się pokazać, poczekać aż ktoś szlak przetrze, a może nawet założy poręczowki, a następnie jak tylko pogoda strzeli, mamy szczyt zaliczony !! I TU

SIE PRZELICZYLIŚMY!!

Moim partnerem w niedoli był Maximo Henostroza, z którym się wspinałem razem na Hurascaranie w Peru. Jak się później okazało Max jest jednym z najbardziej znanych wspinaczy Peruwiańskich i weteranem Everestu. Wraz z nami był jeszcze Hiszpan Manuel oraz zatrudniony przez niego Szerpa Sonam. Od początku naszej Polsko-Peruwiańskiej wyprawy nekaly nas problemy. Tak to już jest z ekspedycjami w tym rejonie Himalajów, cała organizacja ekspedycji leci przez Katmandu. Co jeszcze parę lat temu było przyjemnością, powoli staje się nieprzyjemna przygoda. Niestety Maoiści i partie polityczne stopniowo doprowadzają Nepal do samobójczej ruiny a wszystkie ekspedycje do szalu. Ciągłe strajki, blokady miast oraz ataki Maoistów, wręcz wymiotły turystów z Nepalu. Na nasze szczęście, pomiędzy strajkami, barykadami i popalonymi ciężarówkami jakos się do granicy dostaliśmy. Kodari na pograniczu Nepalu i Chin przywitało nas tym, czym wita wszystkich gości; brudem, niegospinnoscia i wręcz fatalnym nuclegiem. Po nocy spędzonej w brudzie, nastąpiła upragniona przeprowadzka do Zangmu (Chiny), oraz porządna kąpiel stawiają nas na nogi. Następnie trzy dniowa aklimatyzacja w Nyalam i wędrowka w górę.



Po przybyciu do BC- obozu Chńskiego naszym pierwszym szokiem było to, że pojawiliśmy się tam jako pierwsi. Czyli nici z naszego planu. Co gorsze, od samego początku pogoda sprawiała nam figle co niemiara. W drodze do bazy wysunietej (ABC) podczas śniezycy nasze Jaki utknęły w zawieji i nie dotarły do celu, co skończyło się obozowaniem godzinę od (ABC). Po paru dniach

aklimatyzacji w bazie wysuniętej i dwóch transportach do lodowca (camp deposit) , jesteśmy już na tyle zaaklimatyzowani by założyć oboz pierwszy. Pełni werwy i optymizmu nie możemy doczekać się akcji, a tu niestety pogoda nadal do d...y. No to czekamy dzień, a tu nic, potem drugi a poprawy nadal nie widać, no nie !!! Trzeciego dnia już nie wytrzymał i w niepewnej pogodzie idziemy w górę. Zaczęło się bardzo świetnie, na lekko, w słoneczko do lodowca, potem już z ciężkimi plecakami przez pole "Penitentes" na razie bez wiatru ale już w głębokim śniegu. Znalezienie drogi i przejście przez "lodowy las" zajęło nam prawie 2 godziny. Wczesnym popołudniem, wysuszeni przez słoneczko i z pewnym deficytem płynowym brniemy do góry w coraz to pogarszającej się pogodzie i głębokim śniegu. Gdzieś w pobliżu docelowego C-1 rozparł się mały sztormik, widoczność spadła prawie do zera a wiatr podskoczył do 60 km/h. Nasze okulary i gogle najpierw zaparowały a następnie zamrzły kompletnie. Wiatr bił niemiłosiernie po twarzy i wychodząc na płaskowyż idziemy już po omacku. W tej sytuacji decyzja jest prosta, rozbijamy jeden namiot pod serakiem, wszystkie graty do środka i z wawo pedzimy w dół do ABC i obozowego ciepła. Po dwóch dniach odpoczynku i kolejnych śnieżycach ponawiamy atak na jędynkę. Oczywiście jak zwykle zaczynamy grzecznie na lekko i przy słoneczku. Tym razem zatrudniamy również kucharza Nime do niesienia jednego wspólnego plecaka. Do popołudnia wszystko się kreśli wspaniale przy pięknej, bezwietrznej pogodzie i ponownie ta sama zagrywka pogodowa, wiatr, śnieg i mgła. A niech Cię!!!!



Tym razem jednak nie dajemy za wygraną i przebijamy się na płaskowyż, jedna grupa

rozbija namioty a druga idzie po depozyt. Nooo!! Teraz to jak panowie rozgaszczamy sie w jedynce Hurraa!!!!!!! Barszcze, kawa i gorace wywary rozgrzewaja nam zycie na wysokosci.

Nastepnego dnia mamy transportowac sprzet do dwojki. No! Fajnie by bylo, tylko pogoda nadal szaleje, jest slaba widoczosc i sypie snieg. Powoli nawet zaczynamy sie do tej pogody przyzwyczajac. Rano w malym zwiadzie w rejonie namiotu, trafia nas szlag!!! Jak sie okazuje, to oboz powinien byc jeszcze wyzej. No nie k,,,a, klniemy pod nosami, pakujac te nasze manele jeszcze raz. Jak to mowia, do trzech razy sztuka! Moze na szczescie ?

Kolejna noc spedzamy juz w wyzerowanym co do metra obozie pierwszym a Maximo wkłada namiary do swojego GPS,u. Niestety jest juz nas tylko dwoch, kucharz Nima zszedl do ABC a Hiszpan Manuel zrezygnowal z ekspedycji narzekajac na pogode i szczeliny lodowe.Wraz z nim zszedl rowniez szerpa Sonam, czyli nasze plany wspolnego torowaia szlaku lichu trafilo. Trzecia, juz samotna noc w Jedunce jestesmy troche podlamani. Pogodowy Blues i brak wsparcia daja sie we znaki. Jest bezwietrznie, ogarnela nas gesta mgla i padajacy snieg. Przez radio kucharz nas informuje ze przybylo juz kilka ekspedycji, momentalnie odnawiaja sie nasze nadzieje na jakas wspolprace w operacji Szczyt !

Nastepnego poranka budzimy sie do slonecznego dnia i ponad 50 cm nowego sniegu. Dzień jest przepiekny, az rwie do gory, ale zagrozenie lawinowe jest oczywiste, i tak caly dzien spedzamy w skwarze namiotu. W powietrzu upal i ani podmuchu wiatru, dopier spiwory zarzucone na namiot daja cien i odrobine ulgi.

Dzien jest wypelniony wylegiwaniem, monotonia gotowania i przelykania gorskich smakolykow, caly czas jednak nie dajemy za wygrana, cos sie przeciez musi zmienic. Czwarta noc pod rzad w jedynce zaczela sie takze bardzo interesujaco, zerwal sie tak silny wiatr ze to cale nasze gotowanie trzeba bylo przeniesc do srodka namiotu. Wiatr szalal cala noc, wywiewajac w dol ten caly snieg. Z rana wichura troche zelzala i jak sie okazalo wiekszosc sniegu znikla az do lodu. Mimo nijakiej pogody decydujemy sie isc w gore z paczkami-ile sie da, byle wyzej. Na tym etapie strasznie pomocne sa palety sniezne ktore tu przytargalismy z USA. Jak zwykle po poludnu pogoda sie z nas smieje. W polowie sciany do drugiego plaskowyzu rozpetala sie kolejna sniezycyca, i to samo, widoczosc na piec metrow i jeszcze nie pewny snieg pomagaja nam w zostawieniu ladunku na haku i odwrocie do namiotu. Miny mamy nie tegie i klniemy wszystko, lacznie z aura. Znowusz zaczyna nas opuszczac nadzieja, tym bardziej ze czas powoli ucieka a monotonia gotowania w zawieji i polykania tego codziennie wcale nie pomaga. Rano postanawiamy zejsc do ABC.



A tu poranek i niespodzianka, PRZEPIEKNY DZIEN !!! I to bezwietrzny!
Widzimy w tym nasza szanse, zmiana planow, i zaraz po sniadaniu tuptamy w gore do C-2. Nie zadne tam depozyty, tylko spac w C-2 a jak pogoda jeszcze jeden dzien strzeli to na sam szczyt.
W glebokim sniegu idzie nam to bardzo powoli, ale jakos sie oddalamy od obozowiska jedyunki. Maximo w wiekszosci ryje z przodu a ja mu daje zmiany jak tylko moze.
Pogoda nadal utrzymuje sie na piatke i widzimy coraz wiecej szczytow w strone Lantang Himal. Powoli wychodzimy na plaskowyz i tak skatowani po 7 godzinach rycia w sniegu zakladamy oboz drugi C-2. Zmeczeni ale bardzo szczesliwi zasypiamy sniac o szczycie.
Niestety pech nas nie opuszcza bo w nocy zrywa sie kolejna nawalnica wietrzna. Od poczatku sztormu zadziwiajaca jest wytrzymalosc naszego namiotu, dopiero po czasie orientujemy sie ze tym razem to nie sa zarty, jestesmy na 7,000m, wiatry dochodza do 160 km/h, jest plasko jak na patelni i nie ma zadnej oslony od wiatru, po prostu jestesmy warci tyle co ten nasz namiot. W nocy podpieramy na zmiane sciane namiotu przed zalamaniami oraz co jakis czas poprawiamy mur na zewnatrz byle by to wytrzymalo. Tak uwiezieni spedzamy trzy noce bez mozliwosci odwrotu. Caly gaz zuzyty, prowiant zjedzony do ostatniej okruchy no i nasze ego uteperowane towarzysza nam w odwrocie.
W bazie jestesmy witani jak bohaterowie i przodownicy brudnej roboty, wszyscy chca wiedziec co, jak i gdzie? Posilek z kurczaka i kotletow z Jaka jest czymś niebieskim i nawet Chinskie piwo jakos wchodzi. W obozie jest juz pelno ekspedycji z prawie calego swiata, sa Niemcy, Rosjanie, Litwini i Austriacy., wiekszosc z nich nie majac jeszcze aklimatyzacki kursuje w terenie nizszym do camp depot albo do jedyunki. Nowa prognoza pogody wyglada bardzo obiecujaco z dniami na wejście szczytowe od szustego do dziewiatego Maja. Jeszcze nie chcemy w to uwiezyc, bo bylo juz tyle prognoz pogody I co? Wszystko pryslo w mgnieniu oka. Tym razem ma to byc silny wyz od strony Nepalu,

i to bez wiatru, ale ja tam cały czas powtarzam powiedzenie mojej babci “mydło okaze się w praniu “ Nasze dwa dni odpoczynku I obzarstwa mija bardzo szybko-zwlaszcza w obozowym ciepelku a tu pora na pakowanie szejpu w gore.



Podczas naszego sniadania, wiekszosc wspinaczy w bazie wyruszyła do jedyńki, scenario kturę pasowało do naszego planu trzymania się z tyłu. Idzie nam to nie źle, bo do obozu pierwszego dochodzimy na luzno, mijając z dziesięć osób które wyruszyły parę godzin przed nami. Pogoda nadal szwankuje, pada śnieg i wieje, ale cały czas mamy nadzieję że coś się poprawi. W nocy nastąpiła cisza, widac świetliste gwiazdy i księżyc prawie w pełni, nadzieja nas jeszcze całkowicie nie opuszcza. Szczęśliwie poranek przywitał nas słonecznie dodając nam więcej otuchy i jak w zegarku, podczas gdy my jemy śniadanie, kolumna wspinaczy brnie do góry torując nam szlak do dwójki. W połowie stromego zbocza dochodzimy do całej grupy, trzymając się z tyłu, dopiero przed samym C-2 przejmujemy prowadzenie bo we mgle tylko my wiemy gdzie iść. Tym razem wędrowka zajęła nam tylko pięć godzin i o wiele mniej wysiłku niż poprzednio. Poza nerwowką przedszczytowa, noc mamy spokojna, zasypiamy w nocnej ciszy i pełni księżyca. Mamy wyruszyć o czwartej rano prosto na szczyt bez zakładania obozu trzeciego na ramieniu na 7,450m. Będzie trudniej, ale Maximo jest przecież weteranem Everestu i umie pociągnąć jak trzeba a ja natomiast jakos się go trzymam i w razie czego mam też butle tlenu tak na wszelki wypadek. Zreszta po tylu nocach spędzonych na 7,000m nie sadzę bym ja potrzebował, ALE!?! Nie wracam do domu bez szczytu. Poranek nas przywitał silnym, porwistym wiatrem i okazyjnym gradem, wieje za mocno i przekładamy start na piąta rano a po braku poprawy na szusta, w końcu na następnego dnia czyli siódmego Maja.

Obydwoje klniemy na pogodę i nasz pech. Maximo zaczyna już bluzgac sam do siebie po Hiszpańsku a ja mu towarzyszę po Polsku, tak chyba lepiej bo wiemy o co chodzi a nikomu uszy nie wiedna.

Następny, tym razem już piąty dzień na 7,000m przebiega tak samo monotonnie jak poprzednie, picie, jedzenie, aspiryna, żelazo, witaminy, barszcz i prawie wymioty. Powoli zaczynają nam te posiłki nie wchodzić do ust nie mówiąc już o braku apetytu i nudzie. Tak zdegustowani pogodą i wspinaczką wpadamy w nocny letarg który zostaje nagle przerwany alarmem o pierwszej w nocy. De Ja Vu !! Odpalenie maszyny gazowej i dalej w kime, oczywiście z jednym okiem otwartym! Do drugiej rano siorpiemy już po drugim kubku kawy i nakładamy kolejną warstwę ciuchów. O trzeciej mamy już na sobie puchy i wciągamy po misce z płatkami. Popychamy to wszystko plynami i wyruszamy o czwartej. Pogoda nadal się utrzymuje, jest bezwietrznie z pełnią księżyca



Przy świetle księżyca i czołówek nie mamy problemu z dojściem pod ściany i odnalezieniem starych lin poręczowych. Stopniowo zaczynamy rytmiczną wspinaczkę w lodzie. Odkopywanie i sprawdzanie starych lin zajmuje strasznie dużo czasu, więc częściej z nich olewamy i idziemy razem związani bez ubezpieczenia. Zbocze nie jest aż tak strome, może 45% -50% ale jest strasznie twarde lodu i nic w niego nie wchodzi, czekając odbija się jak od betonu. Trochę wyżej, już pomiędzy skałkami jest łatwiej i powoli wtaczamy się do obozu trzeciego na 7,450m. Po krótkim odpoczynku w C-3 ruszamy dalej do góry, jest osiem rano i prawie cztery godziny drogi do C-3 dało mi porządnie w tyłek. Powoli mam trudności z utrzymaniem tempa z Maximo i to pomimo tego że to on

prowadzi. Śnieg jest miejscami głęboki i nie pewny, co jakiś czas z pod naszych nog odrywa się płyta śniegu i toczy w odchlan lodowca. Pierwszego zandarma obchodzimy bardzo łatwo do okola śnieżnym stokiem. Przy drugim skalnym progu ~7,500-7-600m śnieg jest głęboki i nie stabilny, więc zamiast obchodzić po lewej musimy iść na wprost pomiędzy skalnymi. Do tego zwalniam tempo, niesamowicie irytując tym mojego partnera---A CZAS UCIEKA !!! Wtedy dla dobrej sprawy zaczynam ciągnąć z butli tlenowej. Rezultat jest natychmiastowy bo nie tylko jestem w stanie nadążyć za Maximo, ale również prowadzę co jakiś czas. W ten sposób sprawnie załatwiamy drugiego zandarma i wychodzimy na grani powyżej, jeszcze trochę łatwego śniegu i lodu i już jesteśmy pod trzecim zandarmem którego musimy obejść po lewej bez względu na jaki śnieg bo na wprost się nie da. Travers nie jest taki trudny, ale strasznie lawiniasty i to z ekspozycją. Co nie krok to płyta śniegu odrywa się pod nogami a ja dostaję kolejnego ataku serca. Gdzie nie gdzie widac stare poręczowki ale nie ma tu nic pewnego i w dodatku idą w różnych kierunkach bardziej nas dezorientując we właściwym kierunku. Wreszcie udało nam się już przejść do garbu w stoku i wystającej tam miejscami poręczowki. Teraz już wczepieni do liny powoli brniemy stromym zboczem prosto do góry, krok po kroku zbliżając się do szczytu Shishapangmy środkowej. Śnieg jest twardy miejscami zmieniający się w lod i do tego bardzo stromy. Do końca nie wierze że to już blisko.

Dopiero widok po lewej, ostry jak brzytwa grani horyzontalnej upewnia mnie do bliskości szczytu i końca mojej meki.



Przy dobrych warunkach śniegowych można by zrobić travers w lewo na szczyt główny, nie więcej niż godzinę drogi, niestety przy tym śniegu NIE DZISIAJ
Najpierw Maximo a potem ja wchodzimy na wierzchołek środkowy Shishapangmy

8,024m, jest 15:05 czasu Nepalskiego, wiatr pędzi od strony Nepalu. Widoki są niesamowite, na horyzoncie widać Cho-Oyu, Lhotse no i oczywiście Everest, radość i podniecenie szybko mijają bo czas ucieka a wiatr przypomina o powrocie. Jeszcze parę zdjęć i rwiemy w dół jak opętani, już nikt nie myśli o walącym się w dół śniegu czy poprawnym węzle, byle szybciej uciec z tego wiatru. Realność sytuacji szybko nam przypomina o sztuce przetrwania, byle ręk nie odmrozić, zasłonić twarz, ruszać palcami u nóg. Zupełnie wykonczeni przy ostatnim świetle dnia dochodzimy do C-3, gdzie rozbite są już 3 namioty. W jednym z namiotów jesteśmy poczęstowani płynami i po 10 minutach odpoczynku kontynuujemy zejście. Już w zupełnych ciemnościach schodzimy za poręczkami w niewidoczna odchlan gdzie jedynym przewodnikiem jest lina widoczna na metr. Dopiero o dziewiątej w nocy odnajdujemy nasz namiot. Kompletnie wykonczeni, jesteśmy w stanie zagotować trochę picia i tak ponownie wpadamy w nocny trans. Dopiero poranek, straszny ból głowy i oczy zasypane piaskiem uprzytamniają nam fakt że kuchenka była przez noc włączona, że jeszcze spodni puchowych nie zdjąłem a Maximo swoich butów. Rano gazu nam starczyło na zagotowanie po kubku kawy i trzeba było się pakować, najpierw oboz drugi a następnie po czterech godzinach schodzenia oboz pierwszy. Plecaki wyladowane po brzegi dają nam cały czas znac o swojej obecności na naszych plecach.

Po drodze dołącza do nas Nima, i tak oladowani szpejem z dwóch obozów i depozytu kluczymy wąską ścieżką poprzez rawiny i rumosze, w oddali widać lunę zasypiającej bazy. Monotonna wędrowka powoli doprowadza nas wreszcie do spiaczego już obozowiska, jest ciemno a cisze zakłaca praca generatora. Nikt nas nie wita, nie ma gratulacji ani fanfar, jesteśmy tylko my, cisza i zwycięstwo, chyba tak najlepiej.



